

RECENZJE

Marta Bład*

MIĘDZY SNAMI A KŁAMSTWAMI¹, CZYLI O UROJENIACH EKONOMII GILBERTA RISTA

(Artykuł nadesłany: 19.05.2016; Zaakceptowany: 16.02.2017)

Trudność nie polega na zrozumieniu nowych idei,
ale na odejściu od starych, które z powodu wychowania,
jakie większość z nas otrzymała,
wcisnęły się we wszystkie zakątki naszego umysłu.

John Maynard Keynes

Gilbert Rist, *Urojenia ekonomii*, przeł. Światosław Florian Nowicki, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2015, s. 289.

Urojenia ekonomii – czyżby znaczyło to, że paramy się czymś, co jest nieprawdziwe? A taki właśnie tytuł nosi książka Gilberta Rista, wydana w serii: „Biblioteki Alternatyw Ekonomicznych”, staraniem Kolegium Nauk o Przedsiębiorstwie Szkoły Głównej Handlowej. Jak więc wygląda ekonomia według G. Rista?

Dołączając do narastającego *crescendo* krytyki współczesnej myśli ekonomicznej głównego nurtu, Autor sięga w głąb czasu, poddając krytyce fundamenty ekonomii neoklasycznej, z których wyrosła współczesna ortodoksja ekonomiczna, a która, jego zdaniem, przyczyniła się do kryzysu ekonomii i w następstwie – kryzysu gospodarczego.

Autor jest, łagodnie mówiąc, mocno zdenerwowany żelaznymi prawidłami (aksjomatami) ekonomii, jakimi są m.in. koncepcje „*homo oeconomicus*”, „równowagi ogólnej”, „wymiany” czy „wzrostu”, które poddaje w wątpliwość w kolejnych rozdziałach książki. Zastrzeżenia ma nie tyle do istnienia takich założeń, ale

* Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, e-mail: marta.blad@wp.pl.

¹ Zaczepnięte z oryginalnego tytułu książki G. Rista: *L'économie ordinaire entre songes et mensonges*, Presses de Sciences Po, Paris 2010.

do uznania ich za prawdziwe oraz posługiwania się nimi jako obowiązującymi wytycznymi w interpretacji świata.

Czytelnika, zwłaszcza ekonomistę, może zaś „denerwować” styl, w jakim G. Rist przeprowadza swój wywód, począwszy od brzmienia tytułu, poprzez konsekwentne odbieranie ekonomii statusu naukowości, nazywając ekonomię „nauką” w cudzysłowie, aż do wytykania Szwedzkiemu Bankowi Narodowemu złożenie swego jajka w gnieździe innego ptaka, przez ustanowienie nagrody dla ekonomistów „ku pamięci A. Nobla”. Ale dość o tym. Przejdźmy do zarzutów merytorycznych i postulatów autora.

Pierwszy zarzut dotyczy autonomizacji dyscypliny. Po pierwsze, jej wykorzenia ze wspólnej gleby nauk społecznych, a więc nieuwzględniania powiązań ekonomii z pokrewnymi jej dyscyplinami. Jest to wołanie o szerszą koncepcję człowieka „ekonomicznego”, wszak nie wyabstrahowanego od różnych okoliczności życia i uwikłanego w stosunki społeczne. Zatem chodzi o kierowanie spojrzenia daleko (por. s. 34); żeby zrozumieć człowieka gospodarującego w świecie, trzeba bowiem posłuchać, co mają do powiedzenia o nim dyscypliny „mniej ściśle”, takie jak: socjologia, antropologia, psychologia, historia etc. Po drugie, autonomizacja ekonomii wyraża się w traktowaniu jej, przez nią samą, jako nauki uzurpujającej sobie prawo do mówienia nad innymi, poprzez bycie główną, jeśli nie jedyną siatką interpretacyjną świata oraz uznawaniu praw ekonomicznych nie za prawdopodobne, ale za prawdziwe wytyczne wyjaśniające życie społeczne, a *ekonomia jest (...) tylko jedną* [podkr. GR] z możliwych wizji świata (s. 10).

Ostrze krytyki kieruje G. Rist w zmatematyzowanie ekonomii oraz jej upodobnienie do mechaniki, widoczne choćby w używaniu przez ekonomię pojęć właściwych fizyce, np. masa, siły, przepływy, obieg, tarcia, równowaga, traktowane jako rękojmia jej naukowości. G. Rist nie krytykuje formalizacji ekonomii jako jednego ze sposobów jej uprawiania, ale jej dominację i uznanie pozamatematycznej ekonomii jako gorszego jej rodzaju.

Z założeń ekonomii klasycznej jako pierwszy bierze G. Rist na warsztat krytyki model *homo oeconomicus*, autonomicznej i interesownej jednostki, nazywając go niebezpiecznym upiorem (s. 57). Dziwi się Autor, że choć znakomita większość współczesnych ekonomistów uznaje go za zbyt redukcyjny, nadal jest on obowiązujący. *Ekonomia jest więc zmuszona do zachowywania się tak, «jak gdyby» model był prawdziwy, przyznając, że taki nie jest* (s. 63).

Niebezpieczeństwo paradygmatu *homo oeconomicus* widzi G. Rist nie tylko w modelu samym w sobie, ale także w *ambicji imperialistycznej* (s. 78): narzucaniu go innym dyscyplinom, a także rozciągnięcia go na ogół społeczeństw, bez uwzględnienia okoliczności historycznych i społeczno-kulturowych. Tym samym autor protestuje przeciw koncepcji uniwersalnej jednostki i uniwersalnej natury ludzkiej, czynienia z *homo oeconomicus* przedstawiciela całej ludzkości, *czynnika reprezentatywnego* (s. 77), gdyż takowego nie ma.

Kolejną kategorią ekonomiczną, którą obnaża G. Rist, jest **wymiana**. Autor pokazuje, jak klasyczna ekonomia przed dwustu laty odwróciła wielowiekowy sposób myślenia o „wymianie” dokonującej się w społeczeństwie, o wymianie

jako darze. Bowiern idąc za Smithowskim stwierdzeniem, że każdy jest kupcem, bo utrzymuje się dzięki wymianie, a społeczeństwo jest społeczeństwem handlującym², ekonomia uznała pragnienie zysku i własny interes za podstawę funkcjonowania i relacji w społeczeństwie.

Redukcjonizm wymiany do formy handlowej narzucił swoje panowanie ogółowi nauk społecznych aż do uznania, iż handlowy model interesownej wymiany, podobnie, jak koncepcja *homo oeconomicus*, może wyjaśnić całość ludzkich zachowań. Odrzuca on inne rodzaje wymiany, znane nie tylko w społeczeństwach zwanych „dzikimi”, ale i we współczesnym społeczeństwie. Chodzi mianowicie o **dar**, szczególny rodzaj wymiany, w którym jednostki widzą coś więcej niż tylko swój własny interes, w którym ważna jest nie tyle wymiana dóbr, co **więz** społeczna i **relacja**, współpraca z uznaniem wzajemnej zależności, przy docenieniu niezależności każdego.

Jak pisze Autor, jego rozważania nie mają na celu radykalnego zdyskredytowania handlowej formy wymiany, ale są głosem o uznanie form nieinteresownej wymiany, takiej, która nie pozwala ludziom stawać się rzeczami (s. 109).

Rzadkość to kolejna rama poznawcza ekonomii, którą G. Rist dyskredytuje, na wstępie, pytając: *Czy istnienie ludzkie rzeczywiście jest zdeterminowane przez walkę przeciw rzadkości i dążenie do bogactwa, czy też należy raczej uważać, że (...) założenie rzadkości dóbr i nieograniczoności potrzeb homo oeconomicus jest konieczne, żeby ten (...) wziął się (w końcu!) do pracy, wytwarzał i w ten sposób uruchomił proces wzrostu gospodarczego?* (s. 117–118).

Założenie rzadkości postawiło pod jurysdykcję ekonomii, dobra, które za takie (rzadkie) uznano, nadając im charakter ekonomiczny, poprzez przypisanie im ceny (wartości wymiennej). Katalog tych dóbr wciąż się powiększa, oto bowiem, według neoliberalistów, we współczesnym świecie wszystko jest rzadkie; nie tylko zasoby naturalne, surowce, energia, ale również czas czy informacja. Kiedy zaś wszystko jest rzadkie, nic nie jest za darmo, a więc wszystko ma swoją cenę. Ale przecież Afrykanom czy Latinoamerykanom nie przyszyłoby do głowy, aby traktować czas jako „rzadki”, a nade wszystko jako „towar”.

Umieszczając „rzadkość” u swoich podstaw, ekonomia, zdaniem G. Rista, przyczyniła się do podsycania niepokojów społecznych, bowiem gdzie występuje rzadkość, tam można spodziewać się walk. Jako remedium na zlikwidowanie rzadkości ekonomia zaproponowała zastąpienie jej obfitością, co miałyby się dokonywać przez pobudzenie wzrostu gospodarczego. Będzie to jednak zawsze droga bez końca; żeby podtrzymać pragnienie klienta, nieustannie stymulowane jest bowiem poczucie rzadkości albo braku w ten sposób, by „potrzeby” rynku

² Adam Smith w *Badaniach nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* pisał tak: *Kiedy podział pracy jest już całkowicie urzeczywistniony, człowiek może zaspokajać produktami własnej pracy tylko bardzo małą część swych potrzeb. Daleko większą ich część zaspokaja wymieniając nadwyżki produktu własnej pracy, które przekraczają jego własne spożycie, na takie części produktu pracy innych ludzi, jakich sam potrzebuje. W ten sposób każdy człowiek żyje dzięki wymianie, czyli staje się w pewnej mierze kupcem, a samo społeczeństwo staje się właściwie społeczeństwem prowadzącym handel* (Smith, 2007, s. 30).

stały się „potrzebami” konsumenta. Tak oto autor pokazuje, jak założenie rzadkości tworzy nową wizję społeczeństwa i zarazem dostosowuje społeczeństwo do tej wizji.

Pojęcie **użyteczności** to kolejne niebezpieczeństwo, jakie dostrzega G. Rist w fundamentach ekonomii. Ponieważ nie istnieje w istocie żadne poprawne kryterium pozwalające określić, co tak naprawdę jest użyteczne dla ludzi, gdyż arytmetyka przyjemności i przykrości jest niemożliwa, trudno określić Benthamowskie „największe szczęście dla największej liczby ludzi”.

Zsubiektywizowanie wartości użyteczności, uzależnienie jej od osobistego osądu, czyni cenę miarą użyteczności. Stąd już prosta droga do oddzielenia ekonomii od moralności społecznej: w wydaniu neoklasyków użyteczność jest funkcją intensywności indywidualnego pragnienia. Dostrzega w tym Autor niebezpieczeństwo wprowadzenia do systemu ekonomicznego tego, co bezużyteczne (moralnie), zaliczając je do kategorii tego co użyteczne.

Tak rozumiana ekonomia użyteczności promuje pragnienia indywidualne po to, by ich wyrafinowanie można było zaspokoić za pieniądze pod pozorem szczęścia dla „pragnącego”, a w rzeczywistości w celu zwiększenia zysku tych, którzy dany towar czy usługę wprowadzają do obrotu rynkowego. Zarzuty G. Rista odnośnie do tak rozumianej koncepcji użyteczności koncentrują się zatem na „rewolucji subiektywistycznej”, uwalniającej ekonomię od odniesień do wartości społecznych, a koncentrującej się na jednostce interesownej i kalkulującej (upiór *homo oeconomicus*). Autor próbuje obalić przekonanie, jakoby racja subiektywna utożsamiała rację obiektywną. Ponadto dyskredytuje „próżnię społeczną”, w jakiej są jakoby podejmowane decyzje o dobrach pożądanych, a więc użytecznych, bowiem *konsument nie jest nigdy sam w obliczu wyboru, który miałby jakoby należeć całkowicie do niego, ale jest w sposób przemożny determinowany przez przynależność do grupy społecznej, która już nadała wartość albo znaczenie raczej jedynym dobrom niż drugim* (s. 151).

Równowaga – jedno z najważniejszych słów-kluczy w ekonomii – stała się, jak można było się domyśleć, częścią krytyki G. Rista. Chodzi o model równowagi ogólnej zaproponowany przez L. Walrasa (1874 r.). Model ten jest fikcją, skoro jego założenia nigdy nie będą jednocześnie spełnione (nie zaistnieje doskonała konkurencja, system nigdy nie będzie izolowany, podmioty nie zawsze są racjonalne, dobra nie są jednolite etc.) i w tym ekonomiści są zgodni. Model ten opisuje świat taki, jaki mógłby być, ale nigdy nie będzie (nie zaistnieje jedna równowaga, która pozostanie w stanie stacjonarnym i bezczasowym), odchodzi więc daleko od rzeczywistego świata. Autor zastanawia się nad popularnością teorii równowagi ogólnej, która – jego zdaniem – *jest ślepek uliczką, a jednak pozostaje jednym z punktów odniesienia dyskursu ekonomicznego* (s. 164). Rist krytykuje znów nie tyle to, że takowy model istnieje, ale że jego promowanie umacnia w przekonaniu, iż czysto matematyczną spekulację można przenieść na świat realny. *Nieważne, że teoria jest fałszywa, ponieważ to, czego ona chciała dowieść, pozostaje urzekające* (s. 165). Autor zarzuca entuzjastom teorii równowagi ogólnej, że wychodzą od teorii w celu dostosowania do niej rzeczywistości, tu: do

ureczywistnienia największego zadowolenia wszystkich poprzez ideał „doskonałego rynku”, który, o czym wszyscy wiedzą, nie istnieje.

Na warsztat krytyki następnie bierze G. Rist paradygmat **wzrostu**, który jest przedstawiany w ekonomii jako remedium na rozwiązanie problemów społecznych. Krytykuje wskaźnik PKB, powszechnie uznawany za wskaźnik wzrostu; obnażając jego słabości: np. to, że nie uwzględnia on „kosztu” niszczenia dóbr przyrody, nie mówi nic o sposobie, w jaki bogactwo jest rozdzielane wewnątrz kraju, ani nie wydaje osądu dotyczącego jakości aktywności rynkowych (równie dobrze może chodzić o produkcję ziemniaków, jak też o produkcję narkotyków). Mówi o wypaczeniu sensu, bowiem *zakłada się, że więcej (produktywnych działań wymiany rynkowej) oznacza z konieczności lepiej* [podkr. GR] (s. 176–177).

G. Rist konstatuje, że dzisiejszy świat ogarnęła obsesja wzrostu gospodarczego, a *problemem, przed którym stoją wszystkie podmioty rynkowe, jest «jak osiągnąć wzrost», inaczej mówiąc, «jak powiększyć swój zysk»* (s. 182). Jednym z rozwiązań jest przeobrażenie przyrody i stosunków społecznych w towary tak, by miały one cenę, a więc mogły być sprzedawane i kupowane. Skrajnym tego przykładem jest handel organami człowieka. Innym rozwiązaniem jest lansowanie nowych produktów w nadziei, że staną się one wkrótce konieczne oraz „twórcza destrukcja” czyniąca przestarzałymi przedmioty do niedawna uważane za najnowsze osiągnięcia. Jeszcze innym przykładem jest kreowanie popytu efektywnego na różne ekstrawagancje: *lepiej jest produkować lekarstwa raczej przeciw otyłości niż przeciw malarii (...), uwodzić raczej bogatych niż zadowalać biednych* (s. 184).

Taka logika ekonomiczna, owszem, prowadzi do wzrostu zysku dla kreatorów wzrostu, ale też do wzrostu nierówności, na co zwraca uwagę Autor. Paradoksalnie jednak, segmentacja rynku jest również zdolna do utrzymania wzrostu ekonomicznego, gdyż *zawsze można oczekiwać, że dzisiejszy luksus «się zdemokratyzuje» (...) i że w ten sposób otworzą się nowe rynki dla nowych nabywców (...). Nie pozostanie już nic innego jak wynaleźć inne «wyprzedzenia w czasie», które będą symbolizowały przynależność do klasy **happy few*** [podkr. GR] (s. 185). W owej obsesji wzrostu należałoby zadać sobie pytanie *nie tyle o to*, zdaniem G. Rista, *co zyskaliśmy, ale o to, co straciliśmy* (s. 187).

Jako sprzeciw wobec (nieograniczonego) wzrostu, pojawił się termin „odwzrostowanie”, który nie oznacza, zdaniem autora, przeciwieństwa wzrostu, lecz jego redukcję, zmianę jego skali czy też rekonstrukcję. Przeciwnicy krytykują nie sam wzrost ekonomiczny, który jest wszak immanentną cechą natury, ale dążenie do jego nieograniczoności, które zwiększa nierówności społeczne i narusza równowagę środowiskową. G. Rist nawołuje do przywrócenia **właściwej** miary wzrostu oraz zastanowienia się, czy styl życia społeczeństw zachodnich nie powinien być *radykalnie przeobrażony, żeby dołączyć (ponownie) do zwykłej miary wszystkich społeczeństw* (s. 203). *Nie ma (...) u przeciwników wzrostu ani nostalgii za przeszłością, ani woli «powrotu do tego, co zostało w tyle» (...). Ale po prostu pragnienie (...) ukazywania bogactw, które istnieją poza rynkiem* (s. 205–206). Wiele rzeczy ma bowiem wartość, choć nie ma ceny, jako że nie ulega rynkowej wymianie, będzie

to np. przyjemność z relacji społecznych czy więzi, które kierują się życzliwością, a nie wyłącznie interesem.

Cóż wobec tego robić? G. Rist widzi ratunek dla tonącej, według niego, łodzi ekonomii w przyjęciu szerszego niż do tej pory wielodyscyplinarnego podejścia, pluralizmu w ekonomii i rozwoju nurtów heterodoksyjnych. Ponieważ nie jest możliwe „wyjście z ekonomii”, istnieje pilna potrzeba osadzenia „faktów ekonomicznych” w społeczeństwie i środowisku przyrodniczym (postulowane dużo wcześniej przez K. Polanyi’ego³), albowiem życie ekonomiczne integralnie związane jest z życiem społecznym i życiem przyrody. Jest to możliwe poprzez szeroko pojętą instytucjonalizację **relacji** między ludźmi (gospodarującymi) oraz między nimi a ich środowiskiem (przyrodą). Autor apeluje o uznanie różnorodności podejść ekonomicznych, dostosowanej do praktyk społecznych w różnych realiach przestrzennych, a także społeczno–kulturowych. Jest to apel o to, by „zaczarowany” świat rynku respektował rzeczywistość społeczną, mając również i to na względzie, że *dzięki sieciom powiązań społecznych istnieje z powodzeniem życie na zewnątrz – albo obok – rynku* (s. 240–241).

Zdaniem Autora, by mogło dojść do „wielkiej transformacji”, jakiej życzył sobie Karl Polanyi, jest konieczna „rewolucja mentalności”. Jako dobry przykład zmiany myślenia przytacza G. Rist ideę Narodowego Planu Rozwoju w Boliwii (plan na lata 2006–2011) polegającą na zapewnieniu każdemu „dobrego życia”, które różni się od (zachodniego) pojęcia „dobrobytu” skoncentrowanego na pozyskiwaniu i gromadzeniu dóbr materialnych. *«Dobre życie oznacza dobrze żyć wśród ludzi, gdyż nie można żyć dobrze, jeśli inni żyją źle. Chodzi o życie ludzi jako członków wspólnoty, pod jej ochroną i w harmonii z przyrodą»* oraz *«dobre życie opiera się zasadniczo z jednej strony na dostępie do dóbr materialnych i korzystaniu z nich, a z drugiej strony na rozkwicie w życiu uczuciowym, osobistym i duchowym w harmonii z przyrodą i wspólnotą istnień ludzkich»* [podkr. GR] (s. 270).

Muszę przyznać, że praca *Urojenia ekonomii* jest książką nietypową, wzbudzającą mieszane odczucia. Mianowicie, życie tej książki biegnie dwiema warstwami; jedna dotyczy języka autora, mogącego wzbudzać pewien niesmak, często ciętego, emocjonalnego, miejscami mało precyzyjnego i naukowego, a w drugiej warstwie pracy jest głębia odważnej krytyki fundamentów ekonomii neoklasycznej, która nie ma bynajmniej na celu krytyki dla krytyki, ale wyraża troskę G. Rista o stan naszej planety, wzrost nierówności społecznych czy ekologicznych konsekwencji nieograniczonego wzrostu gospodarczego. Paradoksalnie, obwiniając ekonomię

³ Karl Polanyi znany jest z koncepcji „zakorzenienia” (*embeddedness*), zgodnie z którą gospodarka nie stanowi niezależnego organizmu, jak przedstawia ją klasyczna ekonomia, lecz jest (powinna być) podporządkowana społeczeństwu (relacjom społecznym). Autor postrzegał rynek jako część szerszej pojętej gospodarki, a tę z kolei – jako element jeszcze szerszego społeczeństwa. Uważał, że pragnienie stworzenia wykorzenionej ze społeczeństwa, całkowicie samoregulującej się gospodarki rynkowej jest projektem utopijnym. Pisał tak: *Zaproponowana przez nas teza brzmi następująco: idea samoregulującego się rynku implikowała skrajną utopię. Taka konstrukcja nie mogła bowiem istnieć przez dłuższy czas, nie unicestwiając jednocześnie ludzkich i przyrodniczych podstaw istnienia społeczeństwa* (Polanyi, 2010, s. 4).

za całe zło tego świata, autor *Urojeń ekonomii* uznaje wartość ekonomii jako nauki i jej siłę wpływania na kreowanie rzeczywistości.

Nie sposób nie zgodzić się z tym, że, jak pokazuje historia, ekonomia czasem błądzi w poszukiwaniu stosownych paradygmatów naukowych, jednak wciąż szuka (czego dowód mamy choćby w rozwijającej się ekonomii behawioralnej czy ekonomii złożoności), a potrzebę „nowego ducha” ekonomii zauważa coraz większe grono ekonomistów⁴. Przyjęcie zaś z pokorą nasilającej się krytyki ekonomii może wyjść na dobre nie tylko ekonomii jako nauce, ale i nam samym, którzy uwikłani jesteśmy w sieć zależności ekonomiczno-społecznych. Umiera „stare”, a rodzi się „nowe” – zakończę, parafrazując Antonio Gramsciego – oto bowiem jest czas przełomu, a więc czas nadziei na zmianę.

BIBLIOGRAFIA

- Polanyi K. (2010), *Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów*, przeł. Maria Zawadzka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Smith A. (2007), *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, T. 1, Księga I: przeł. Stefan Wolff i Oswald Einfeld, Księga II i III: przeł. Zdzisław Sadowski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Wilkin J. (2014), *Dlaczego ekonomia straciła duszę?*, „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego”, 1, s. 15–20.

⁴ Jerzy Wilkin w tekście: *Dlaczego ekonomia straciła duszę* pisał o „sprzedajności” ekonomii i o tym, jak ekonomia, która wszak wyłoniła się z filozofii, *odeszła daleko od bezinteresownego dążenia do prawdy, dobra i piękna. Stała się nauką służącą użyteczności – zwłaszcza dla tych, którzy za tę użyteczność potrafią dobrze płacić* (Wilkin, 2014, s. 19). Stwierdził dalej autor: *Jedną z największych ułomności ekonomii jest niedocenianie tego, co nie jest wartościowane, czy wyceniane przez rynek, a co jest ważną wartością dla jednostek i społeczeństw* (Wilkin, 2014, s. 19–20). *Dziś wypada spojrzeć prawdzie w oczy i uderzyć się w piersi. W ekonomii (...) dużo musi się zmienić, byśmy wyszli z (...) kryzysu i uniknęli jeszcze ostrzejszych w przyszłości* (Wilkin, 2014, s. 15).